



Bajka o krawcu i księżycu

Działo się to bardzo dawno, może tysiąc lat temu, a może i dziesięć tysięcy. Do okien ubogiego krawca zaglądał co wieczór księżyc i zawsze zastawał go przy robocie. Nieraz księżyc, znudzony długim patrzaniem, odszedł już sobie od okna, a krawiec ciągle jeszcze wywijiał igłą, lub ciął nożyczkami.

Razu pewnego przyszedł księżyc i jak zwykle stanął w oknie. Patrzy, a krawiec wyciągnął się na łóżku i chrapie. Zdziwił się księżyc i wola:

— Hej, hej! panie krawcze!

Zerwał się śpiący na równe nogi i zażył się niskim ukłonem:

— Czem mogę jaśnie oświeconemu księżycowi służyć?

— Pewno nie masz roboty, kiedy śpisz, więc chcę obstalować u ciebie ubranie — odpowiedział księżyc. — Cały świat na mnie patrzy, więc we fraku i kamizelce wyglądałbym przyzwoiciej. Zresztą często dokuczliwy chłód mnie przenika, bo jestem już stary; myślę, że twój frak ogrzałby mnie trochę. Zrób mi więc ubranie ładne, wygodne i z dobrego materiału, będę ci zato darmo świecił. Prócz tego pozwólę ci wypisać na polach fraka swoje nazwisko i adres. Ręczę ci, że wtedy wszyscy przyjdą ubierać się u ciebie, a nie wydasz ani grosza na ogłoszenie.

— Dobrze. Nielatwa to jednak będzie sprawa, bo ty, jaśnie świecący panie księżycu, dziwną masz figurę: u góry i u dołu jesteś wysoki, spiczasto zakończony, zgięty jesteś w kabłak i podobny do sierpa. Spróbuję przecie i postaram się uszyć ubranie jak najlepiej podług wymagania.

I zdjął krawiec miarę z księżycu, obiecując wykończyć frak za tydzień.

Zjawia się księżyc po upływie tygodnia. Chce mu krawiec ubranie włożyć, lecz widzi ze zdziwieniem, że jego klient utył ogromnie i wygląda teraz jak pół bochna chleba.

— Zaradzł, mój kochany! — woła księżyc — utylem i w to piękne ubranie w żaden sposób się nie zmieszczę. Rozsztukuj je nieco, a ja znów za tydzień przyjdę.

Gdy minął tydzień, zjawia się znowu księżyc późnym wieczorem.

— O, jaśnie świecący panie! — woła przerażony krawiec — przybyło ci drugie tyle! Okragły jesteś jak dynia!... Spuchleś!... Pierwej, niżli do mnie, należało iść do lekarza.

— Ach, mój drogi — odrzekł zakłopotany księżyc — podczas ostatniej bytności zapomniałem cię uprzedzić, że jeszcze... że nie zgrubieje już więcej nawet u wlos!

— Ha! wobec słowa honoru — powiedział krawiec — poprawię ubranie raz jeszcze i niech je sobie pan księżyc zabiera. Już trzeci tydzień idzie, jak ślęczę nad jednym frakiem i mam już dosyć poprawek.

Przerobił krawiec frak, dodałszy materiału drugie tyle, i na klienta czeka. Aliści zjawia się ten zbiedzony i chudszy o połowę. Rozgniewał się krawiec, wyrzucił frak przez okno księżycowi pod nogi, roletę zapuścił i padł na łóżko, aby wreszcie po trzech tygodniach pracy wypocząć.

A księżyc został bez ubrania i już mu go napewno nikt nigdy nie szyje.

Z. Zacharkiewiczówna

Sklep szkolny

I.

Julek miał długą i poważną rozmowę z panią. Gdyby Julek był dorosłym, a nie małym chłopakiem z trzeciego oddziału, napisalibyśmy, że Julek odbył z panią konferencję.

— Proszę pani — mówi Julek — podobno uczniowie siódmego oddziału mogą kupować w szkole zeszyty, pióra, ołówki i różne rzeczy. I jeden uczeń ten sklep prowadzi.

— Istotnie — mówi pani — siódmy oddział ma kooperatywę. Czy chcesz spróbować czegoś podobnego i w trzecim oddziale?

Julek nic nie odpowiedział, ale pani sama się domyśliła, że chce.

— Widzisz, chłopcze, w siódmym oddziale są już starsi uczniowie. Dobrze piszą, dobrze rachują. Obawiam się, że nie dasz rady.

Julek uważnie patrzy na panią i czeka.

— Bo ja wiem! Z biblioteką doskonale sobie poradziłeś, ale kooperatywa jest o wiele trudniejsza.

— W szafce jest tyle wolnego miejsca — mówi Julek — cała półka jest pusta. Mam tuzin bąków.

— Czego tuzin?

— Bąków drewnianych.

— Poco?

— No, do puszczenia. Takie, co się, batem pogania i się kręcą. W sklepie kosztują po osiem santymów, a ja kupiłem cały tuzin za czterdzieści santymów. Na gwiazdkę będą mogli kupić dla braci i sióstr na prezent.

— Więc bardzo chcesz spróbować?

Julek nie odpowiedział, ale pani się domyśliła.

— Bardzo się boję — mówi pani — bo trzeba ci wiedzieć, że z własnymi pieniędzmi może każdy robić, co chce i liczyć je, albo nie liczyć. To jego rzecz. Z cudzymi pieniędzmi trzeba być niesłychanie ostrożnym. Kontrola musi być najściślej. Trzeba prowadzić książkę wpływów i wydatków; każdy wydatek musi być stwierdzony rachunkiem.

— Przecież przyniosłem rachunek ze sklepu Kierskiego i od introrigatora.

— Przyniosłeś. A czy posiadasz zaufanie klasy? Czy nie kłóca się z tobą?

— Teraz nie. Każdy dostaje na próbę gorszą książkę, a jeśli ją zwróci w porządku, dostaje lepszą. Każdy musi sprawdzić, że książka jest cała, a jak się jedna kartka kiwa, to zaraz przylepiam. Nie wolno trzymać książki dłużej, niż tydzień. Rogulę i Janka zupełnie wykreśliłem z czytelników.

— A jednak dochodzą mnie skargi.

— Wiem, pewnie Jadzia.

— Skąd wiesz, że ona?

— Już teraz tylko ona się kłóci. Właściwie i ona nie powinna brać książek, ale mniejsza o to.

— No tak. Ale od czego zaczniesz? Jak ty sobie to wyobrażasz?

— Wywieszam ogłoszenie, że kto chce należeć do kooperatywy, niech przyniesie 20 sant. Raz na tydzień urządam posiedzenie, żeby powiadzieli co kupić. No i kupuję, biorę rachunek, no i każdy bierze, ile chce, z rabatem, a potem kupuję coś innego. Nawet mogą nie brać od nich pieniędzy, bo mi zostało 5 laty 12 sant. I mam jeszcze dwa pióra, gumę, cztery nowe stalówki i jedną raz używaną.

— Dlaczego raz używaną?

— Pożyczyłem Stachowi, bo mu wpadła do kalamarza i nie miał czym pisać.

Pani poglaskała Julka po głowie.

— Więc słuchaj, Julku. Tobie bardzo się śpieszy, ale trudno: zaczekaj parę dni. Dowiem się, kto prowadzi kooperatywę w siódmym oddziale.

— Wiem, proszę pani, on się nazywa Marski.

— Ach, i to nawet wiesz!

Często dorosli się zdziwią, że dzieci coś wiedzą. Jakby trudno było się dowiedzieć, jeżeli komuś bardzo na tem zależy.

— Więc rozmówię się z Marskim, żeby ci pokazał, jak prowadzi rachunki, żeby ci wszystko objaśnił. Masz wprawdzie dobrą pamięć, ale wszystkiego pamiętać nie można, więc trzeba zapisywać. Tymczasem rozmów się z Karolcią, czy zechce ci w tem dopomagać.

— Karolcia mi już nie pomaga — szybko powiedział Julek.

— Dlaczego? — zdziwiła się pani.

— Powiedziała, że i tak sam wszystko robię, więc poco się ma nazywać, że jest bibliotekarką.

- Pokłóciliście się?
- Nie, tak sobie odeszła.
- A jednak byłoby dobrze, żeby ci ktoś w pisaniu przynajmniej pomagał. Bo bardzo brzydko piszesz.
- Nela ładnie pisze.
- I ty możesz się nauczyć, tylko musisz popracować. I błędnie piszesz.
- Miałem tylko trzy błędy.
- Ale Henio napisał bez błędu.
- Bo on jest pierwszym uczniem.
- A ty nie możesz być pierwszym uczniem?
- Nic może być przecie dwóch pierwszych.

Pani się roześmiała. Do kancelarji wszedł kierownik.

— Co to, zbroił coś?

— Nie, rozmawialiśmy o naszych sprawach. To jest właśnie bibliotekarz Wrzóska, o którym panu mówiłam.

Kierownik podał pani palto, pani powiedziała coś, ale pewnie po francusku, bo Julek nie rozumiał. Potem pani pożegnała Julka i wyszła, bo już było po lekcjach.

II.

Julek chciał w samotności pomyśleć nad rozmową z panią. Właściwie, dlaczego dorosłym się zdaje, że dzieciom zawsze się śpieszy? Przeciwnie, Julek nawet woli, że pani da mu dopiero za parę dni odpowiedź. Poczeka, ułoży sobie tymczasem dokładnie cały plan, jak się zabrać do trudnej sprawy. Bo jeżeli naprawdę trzeba dużo pisać, a Nela się nie zgodzi? Pani wspomniwała, że jakieś książki trzeba pisać. Co to znów za książki?

Do obiadu zostało pół godziny, więc Julek wstąpił do sklepu pana Kierskiego. On musi wiedzieć.

— Proszę pana, przychodzę do pana z prośbą. Jeżeli będę prowadził kooperatywy, będę dużo u pana kupował: dla całej klasy. Ale niech pan objaśni, co znaczy: książka wpływu i książka wydatków i ile te książki kosztują, i jak się to pisze. Zda się, że będę potrzebował pańskiej pomocy w wielu sprawach. Pan rozumie: kooperatywa — to nie jakaś tylko biblioteka. Nawet szósty oddział nie ma jeszcze, dopiero siódmy. I co właściwie znaczy kooperatywa?

Pan Kierski nałożył okulary, wyjął dwa zeszyty z biurka, kazal Julkowi usiąść i Julek odbył drugą, tym razem prawdziwą już finansową konferencję.

I o dwadzieścia pięć minut spóźnił się na obiad. I dostał od matki taką sobie, niedużą burę.

Pierwsze zakupy

I.

Marski z 7-go oddziału niebardzo chętnie uczył Julka, co ma robić:

— U was się nie uda. Zawracanie głowy. Trzeba znać ułamki i procenty. Tęgo ci nie mogę wytłumaczyć, bo i tak nie zrozumiesz. Ja prowadzę jeszcze to i owo, ale dla ciebie i tak będzie dobrze. Waszej pani się zdaje, że kooperatywa to zabawa.

Julkowi było bardzo nieprzyjemnie, ale trudno. Zawsze się trochę dowie, a zresztą pani kazala.

— To jest książka magazynowa. Tu się zapisuje, co kupiłeś dla kooperatywy, a po tej stronie, co sprzedałeś. Patrz: kupiłem 5 tuzinów zeszytów, a tu: sprzedałem 10 i 4 i 5 i 3 i 5. No, ile będzie razem?

Julek się pomylił.

— No, widzisz, nawet dodawać nie umiesz.

— Umie dodawać — powiedział Julek — będzie 27.

— Ale się mylisz. A teraz powiedz, ile powinienem mieć w szafie.

— Pięć tuzinów to 60, a 60 bez 27 to 33.

— A teraz przelicz.

Wyjął z szafy zeszyty, Julek przeliczył: było 32.

Teraz Marski znów się zawstydził.

— Prawda. Zapomniałem zapisać, że jeden zeszyt wzięłem na administrację.

— Co to jest?

— Kiedy indziej ci powiem.

Tak się skończyła rozmowa z Marskim.

Trudno: gdyby Marski chciał, mógłby lepiej i więcej powiedzieć, ale i tak był mu Julek wdzięczny. Książka magazynowa naprawdę potrzebna. Ważne bardzo, żeby zapisać, co się kupuje i co sprzedaje. I jak się trzeba pilnować, żeby się nie omylić, albo nie zapomnieć wpisać. Marski chciał się pochwalić, że ma wszystko w porządku, i było mu nieprzyjemnie.

I jakie to podobne do arytmetyki:

— Kupiec kupił 5 tuzinów zeszytów i sprzedał 10, 4, 5, 3 i 5. Ile mu zostało? Pierwsze pytanie: ile zeszytów kupił kupiec. Trzeba 12 pomnożyć przez 5. Ile kupiec sprzedał? $10 + 4 + 5 + 3 + 5 = 27$. Ile mu zostało? Nawet może być i tak: ile mu zostało, jeżeli zapomniał zanotować jednego zeszytu?

Jakie to ładne! Zupełnie czarodziejska sztuka! Bierze do ręki zeszyt i mówi: „W tej zamkniętej szafie jest tyle tego, tyle tego, tyle tego”. Otwierają szafę, liczą — i naprawdę zgadł: wszystko się

zgadza. Żeby pokazać komuś, dziękmu jakimuś, toby myślał, że czary. Patrzy na jakieś kreseczki i wie, co się dzieje w zamkniętej szafie, do której nigdy nie zaglądał.

Dlaczego Julek się ościagał, dlaczego nie zaczął odrazu?

Bo nie wiedział i bał się, że zrobi głupio i zaraz z początku zepsuje. Bo początek nietylko jest najtrudniejszy, ale i najważniejszy zarazem.

Więc przedewszystkiem. Czy zakupić zeszyty i inne przybory tak, żeby sprzedawać taniej, niż w sklepach, czy cena ma być ta sama, tylko gatunek lepszy? Czy sprzedawać z zarobkiem czy nie?

Myśli Julek, myśli, myśli, ale nie wie, więc udał się znów do Kierskiego z prośbą o radę.

— Muszę cię pocieszyć — powiedział pan Kierski — ale i zmartwić także. Pocięchą niech będzie ci wiadomość, że trudności, które spotykasz, nie płyną ani z twojego młodego jeszcze rozumu, ani z braku doświadczenia. W kupiectwie, w handlu najważniejsza jest kalkulacja. Kalkulacja to jest obliczenie, ile płacić, ile zarabiać, za ile sprzedawać. I to właśnie, że musisz zgóry obliczyć, co będzie, jest strasznie trudne. Bo, kto kupi, nie wiesz, boś ani widział, ani rozmawiał, ani znasz kupujących. A oni są bardzo kapryśni. Za jedno chętnie płaca, a za drugie nie. Czasem wolą lepszy towar drożej, czasem gorszy taniej. Czasem najostrożniejsza kalkulacja się nie uda. I to jest ryzyko handlu. Tak, jak loteryjka. A często jakby na złość: kupiłem coś lepszego, a oni chcą gorsze, byle taniej. Bo zobacz tylko.

Pan Kierski wyjął pudło i pokazał Julkowi laurki, takie arkusze papieru, gdzie na górze są różne kwiaty, anioły — pisze się na tych arkuszach powinszowania.

— Prawda, że ładne?

— Śliczne!

Na jednych róże, na drugich maki, bratki, różne bukiety, wieńce, girlandy, kosze niezapominajek.

— No i cóż? Dwa lata to leży i nikt nie kupuje. I pytam się dlaczego. Nie wiem. Widzisz, ja stary nie wiem, a ty chcesz już wiedzieć. Musisz spróbować. Na to niema rady. Raz się uda, raz nie.

Więc Julek spróbował.

Kupił na początek po 2 tuziny zeszytów w kratkę, w jedną i dwie linje, kupił tuzin ołówków, farby, kredki, stalki i na próbę kilka cyrkli linji i ekierek, papier szary i kolorowy glansowany, bibule, tekturę i dwa scyzorki.

Pan Kierski dał rachunek i rabat. Policzył taniej, bo bierze odrazu dużo.

I znowu kłopot?

— Jak teraz liczyć?

Tu już postanowił naradzić się z panią.

Jeszcze muszę wspomnieć o wielkiem niebezpieczeństwie, które mu groziło i na szczęście skończyło się dobrze.

Bo kiedy Julek z całą tą paką przechodził przez plac, nagle lunął straszny deszcz. Paka była zawinięta w papier, ale deszcz był tak okropny, że odrazu zrobiła się mokra. Julek schował pod palto i pędził do bramy, aż mu ręce mdleją, bo ciężko. A przed bramą akurat z dziurawej rynny wali woda. Julek chciał przeskoczyć, ale się poślizgnął. I papier pękł. Julek jeszcze zdążył złapać paczkę, ale już w bramie trochę się wysypało. Tylko dwa zeszyty zamoczyły się na brzegu, jeden się zgniół i jeden ołówek mu zginął. Ale Julek chciał przynieść do klasy, ładną, wielką pakę, a tymczasem tak mu się stało.

Mało nie płakał ze zmartwienia. Szkoła nie tak duża, jeśli zważyć, co mogło się stać gdyby wszystko wpadło, do wody. Ale wstyd przed klasą. Zaczną żartować, nazwą go niezdarą...

Tymczasem nie. Cała klasa okazała mu współczucie. Zgnieciony zeszyt można położyć na spód i wyprostuje się. To na brzeżku wyschnie i nawet znać nie będzie. Farby są doskonałe. Ołówki też dobre: tej firmy ołówki są najlepsze. Scyzoryki — ba, tu znów Julek wybierał, więc wie: szkoda, że takie drogie.

Dziewczynki już chcą kupować glansowany papier, wszystkie chcą czerwony, bo najładniejszy.

— Czy bibule trzeba cały arkusz kupować, czy Julek pokraja na kawalki? Jeżeli chce pokrajać, chętnie mu pomogą. I będzie można wypróbować zarazem scyzoryki. Jeden scyzoryk powinien nawet być dla całej klasy. Żeby pożyczac tymczasem, jak kto chce zatemperować ołówek.

Julek otworzył szafę. Pomogli mu ułożyć, coprawda niebardzo porządnie, ale po szkole Julek już poprawi.

Bardzo zajmowała wszystkich myśl, czy oni mają więcej, czy siódmy oddział. Chcieli nawet sprrowadzić Marskiego, ale Julek prosił, żeby nie.

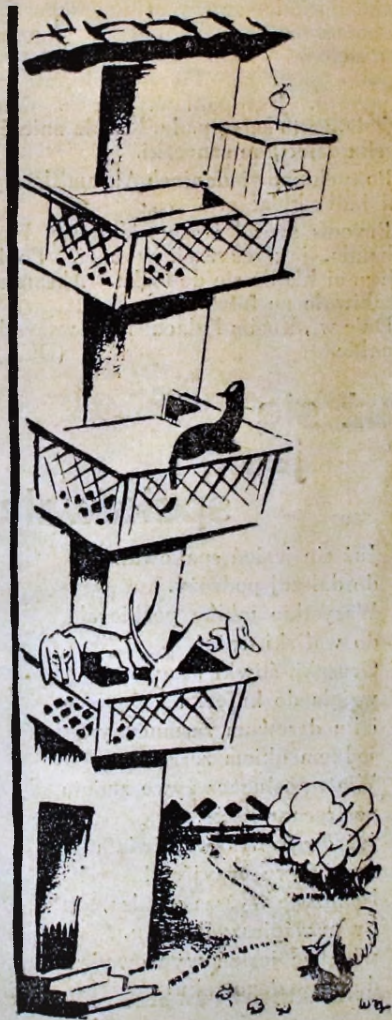
Z trudem po drugim dzwonku Julek zamknął szafę, ale jeszcze stali przy Julku i przy szafie. Aż weszła pani.

Janusz Korczak

≡ Koci Pałac ≡

I. O kotce Aksamitce i jej lokatorach.

Za miastem zieleniło się pole. Na tym polu rozsiadł się pysznie dom. Przed domem wyciągnął się kawałek trawnika. Kwitły na nim blade kwiatki. Wiatr je tu zasiał. Kwitły i cieszyły ludzi. Dom miał trzy wielkie piętra. A na każdym piętrze, jak wianuszek, zawieszono balkon. Był to bardzo dziwny dom. Zupeł-



nie inny, niż te, co w mieście stoją rządkiem. Nie widać było w nim wcale ludzi. Wszyscy wczesnym rankiem do pracy wychodzili. Dom zostawał pusty. I wtedy dopiero zaczynało wszystko w tym domu żyć.

Właścicielką domu była pani z drugiego pietra. Od rana jechała autem do szpitala, w którym leczyła chore dzieci. W jej zastępstwie rządziła domem czarna kotka. Zarozumiała, samolubna i fałszywa. Na imię miała Aksamitka. Chodziła w czarnej, aksamitnej sukni. Siapała delikatnie. Nie lubiła wilgoci. Białe pantofelki miała zawsze czyściutkie. Rano, po wyjściu swej pani, mizdrzyła się do lustra.

Przeginała się i gładziła łapką aksamitny pyszczek. Oblizywała wąsy z mleka. Potem lekkim, aksamitnym susem skakała na balkon. Tu kładła się na słońcu. Wyciągała łapki wtył, jak młody zajączek. Drzemiała.

Ciszę przecinał świergot kanarka z trzeciego pietra. Piórka miał całkiem żółte, jakby przed chwilą wpadł do jajecznicy.

Kotka zgrzytała ostremi ząbkami. Jakby ostrzyła szczyryk o porcelanowy kalamarz.

Kanarek nazywał się Pikuś. Wystawiał dziobek za kratki i udawał, że śpiewa pieśni do kotki.

Kotka kręciła groźnie nosem i mrucała: — Ja tego kanarrka schrrrupię jak sucharrka!

Kanarek skakał na swych precikach i śpiewał cieniutko:

— Wiju, wiju, wiju, wiju!

Dobrze tutaj mi na kiju.

Nie wyfrunę ja na schodki

by wpaść w ząbki czarnej kotki!

I przechylał główkę, jak grudkę jajecznicy, na pierwsze piętro.

Tu ewalowały po balkonie dwa jamniki. Były brązowe, jak skórka od chleba. Miały krzywe, krótkie nogi. Wachlowały je długimi uszami.

Aksamitka pogardzała psami. Każda kotka niecierpi psów. A jamniki wyplasały z domu myszy. A kotka chętnie na deser schrupałaby myszkę. Pieski nazywały się: Kłapousek i Krzywonózek. Były to mło-

de psiaki i miały pstro w głowie. Uwagały się za wielkich elegantów. Przymilały się bezczelnie do rudej wiewiórki z parteru.

Dom ten nazywano „Kocim Pałacem“. Kotka była panią na swych śmieciach.

Nic przyjaźniła się z innymi zwierzętami. O wiewiórkę była zazdrosna.

— Patrzenie! — mruzczała niechętnie na widok wiewiórki Gryzuni — chyba z cyrku uciekla! Jak się to zaleca do tych dwóch smarkaczy z pierwszego piętra!

Gryzunia drwiła z jej staroświeckich gderań. Szczerzyła do wszystkich białe ząbki. Błyskała czarnymi szpileczkami oczu. Przy Aksamitce wachlowała się ogonem. Miała piękny, puszysty, złoty ogon.

— Pewnie wpadła do wiaderka z farbą. Umalowała sobie kudły — syczała kotka zaciekle. — Każda uczciwa kobieta ma sierść czarną. Od rana do nocy wylizywałam się z tego rudego koloru!

Gryzunia lubiła Pikusia, Krzywonożka i Kłapouszka.

Aksamitkę szanowano jednak.

Jej pani była najbogatsza. Rzuciła niezręcznym braciuzkom pieskom skórki z wędliny. Gryzuni dała prawdziwy orzech laskowy.

Aż ją wiewiórka z radości w palec ugryzła.

Kotka siedziała sama na balkonie. Gor-

szyła się wszystkim. Wieczorem coś dudniło, przyczało i parskało, jak koń zakatarzony. To było auto.

Aksamitka nastawiała trójkątne uszka. Potem, jak miękka kula, rzucała się do drzwi.

Wchodziła pani. Pachniała szpitalem i gorączką. Kotka zbierała ten zapach w swój czarny nosok. Lebką ścierała pot ze zmęczonej twarzy. Potem wymrukiwała wszystkie plotki z całego domu:

Krzywonózek podskoczył za Gryzunią. Chciał ją szelma za ogon złapać. Palnął się w pysk o sztachetki balkonu. Skamlał, aż wstyd, przez godzinę. Potem cały dzień chodził z krzywym pyskiem.

Pikuś wyfrunął z zamkniętej klatki. Wpadł do kałamarza z atramentem. Udawał potem niebieskiego ptaszka. A piórka miał zielone! Kłapousek pogryzł przez pomyłkę pierzynę. Pierze rozleciało się po pokoju. Jego pani wróciła do domu. Myślała, że to śnieg pada. Kazała znieść ze strychu dziecinne saneczki.

Po tych opowiadaniach Aksamitka i jej pani jadły kolację.

Prymus syczał i czerwienił się. Woda belkotała, jak języczek w buzi. Po kolacji pani kładła się do łóżka. Aksamitka wskakiwała na fotel.

Dnie w „Kocim Pałacu“ były wszystkie jednakie. (DCN)

Rzeczy ciekawe

Kto ma największy apetyt?

Największymi żarłokami na świecie są chyba Eskimosi. Zdrowy Eskimos potrafi zjeść jednorazowo, około 3 klg. mięsa i tyleż chleba. Pewien podróżnik francuski opowiada, że był świadkiem uczy, trwającej 24 godziny, podczas której 2 Eskimosów „spożyło“ całego wołu. Apetyty nie do pozazdroszczenia!

Nowy szczepek w Australji

W północnej Australji odnaleziono nieznaną dotychczas szczepek dzikich ludzi, mieszkających w jaskiniach. Dzikusy te chodzą zupełnie nago, a po drzewach wspinają się ze zręcznością małp. Jako broni używają włóczni i procy. Żywią się owocami, rybami i mięsem dzikich zwierząt. Jedzą także pieczone węże i jaszczurki. W jaskiniach znaleziono także bardzo ciekawe rysunki i malowidła, przedstawiające sceny z życia bóstw i zwierząt

Już się jesień spakowała

Już się jesień spakowała do dalszej podróży. Wszystkie jabłka pozbierała do walizki dużej. Gruszki, śliwki i kawony wzięła do kuferka i ku drzewom zasmuconym jednym okiem zerka. Wiatr-poślugacz żywo zmiata postrzępane liście, już oczyścił kawał świata na zimowe przyjście! Nakazuje wyższa władza, by przyspieszyć kroku, więc się jesień wyprowadzu do przyszłego roku!

J. Gillowa,

Nasze listy

Daugawpils

Czesz Szklennik. — Otrzymał mi Twój list, Czesiu. Cieszymy się, że znowu do nas piszesz. Pisałeś nam, że byłeś w teatrze kukielek — a możebyś spróbował opisać, co tam widziałeś? Spróbuj! A ten Twój rysunek Krasnoludka ładny! Czy to ja mam być? Ale ja fajki nie palę. Rebusy umieścimy. Pozdrawiamy Cię serdecznie.

Zosia Daukszte. — Jakże zdrowie Mamusiu, Zosiu? Czekamy na zagadki i bajeczki. Harcerki nigdy nie łamią danego słowa, a czy widziałas „Kukielki”? Czekamy listu. Pozdrawiamy serdecznie Ciebie i Twoich rodziców i Lolę. Czuwaj!

Wala i Romuś Chrzczonowicz. Liściki Wasze dostał mi i odpiszemy Wam długi, długi list — tylko jeszcze trochę poczekajcie, dobrze? Adres Twój posłał mi do Niemiec.

Pasienie

Jadzia Zabłudowska — Jadziu, Twoje opowiadanie o żabce umieścimy dopiero w

następnym numerze Krasnoludków. A to widzisz dlatego, że chcemy narysować kilka obrazków do tego opowiadania. I ten Krasnoludek co to nam rysuje — zrobi dopiero na przyszły tydzień. Liścik do domu wysyłamy.

Liepaja

Renia Chmielowska — Czekamy i czekamy tej fotografii i nie możemy się Reniu, doczekać. Chcemy zobaczyć, czy tak naprawdę dużo schudłaś. Pozdrawiam Twoich braciśzków, a dlaczego oni nie napiszą do Krasnoludków? Rysio ładnie rysuje, niech wyrysuje cały list do nas — dobrze?

Stasia Zabłudowska — Kochana Stasiu, Twój liścik już dość dawno otrzymał mi, ale widział przedtem chcieliśmy się dowiedzieć coś o Stasi Stolarczykównie ze Lwowa. Napisałaś tam i czekamy odpowiedzi, jak tylko przyjdzie — damy Ci znać. Napisz nam jak pracujecie w Waszym kółku miłośników przyrody i religji.

Pożegnanie słońca

Królewicz Słonko zapowiedział swój odjazd w dalekie południowe krainy.

Goniec Promień przyniósł tę smutną wieść poddanym królewskim na ziemię.

Smutek i rozpacz granic nie miały.

— Jakże żyć będziemy bez naszego króla i ojca, który nas tak kocha i tyle dobrego wyświadcza? — zawodziło wokół wszystko, co żyło. — Tak dobrze nam było pod jego okiem promiennym! Któż teraz oświeci nas i ogrzeje? Kto rozweseli i kto sił do życia doda?

Pierwsze zbuntowały się ptaki:

— Nie zostaniemy tutaj za nic! Połecimy za Słońcem i z niem dopiero wrócimy!

I rozpostarłszy skrzydła, opuściły las, w którym spędziły lato, i uniosły się w górę, gdzie na złocistym tronie zasiadał królewicz.

Posmutniały zwierzątka na polu i w lesie i zaczęły się naradzać co tu począć w złej doli.

— Ciężkie bez słońca życie! Niema innej rady, jak tylko schować się gdzieś w kąciuku i przespać smutny czas rozłąki.

Gdy wróci królewicz, to obudzi nas pierwszy jego uśmiech powitalny.

I poczęły tłumnie zakopywać się w ziemię.

Żabki w stawie osowiały jakoś. Umilkły koncerty, któremi żegnały codzienność układające się do snu słońce. Jak tu się weselić, kiedy wkrótce zabraknie tego, który im nieraz tak cudnie niebo malował nad stawem?

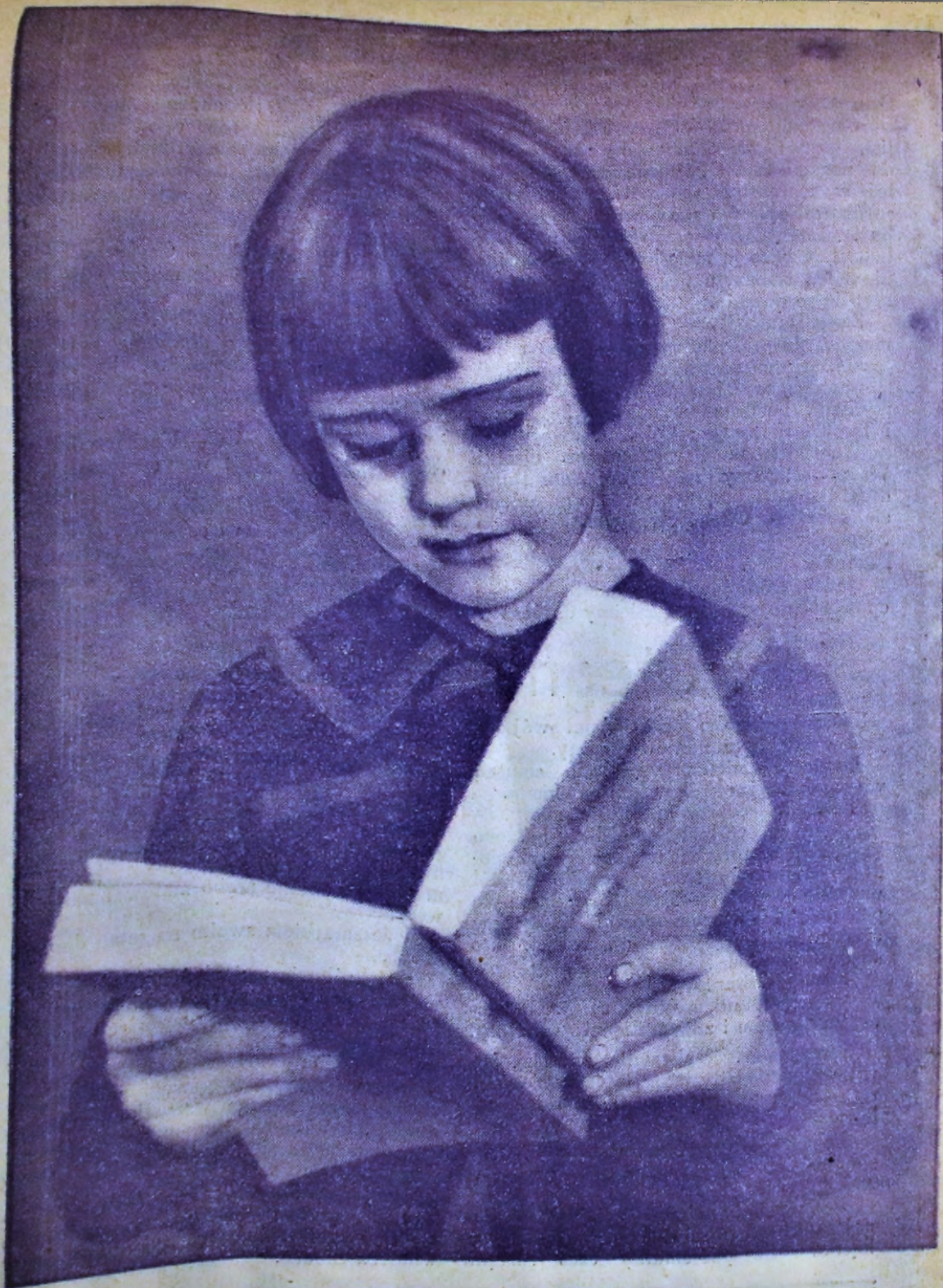
I ze smutkiem swoim na samo dno się skryły.

A i królewiczowi Słońcu niewesoło.

On tak kochał swoich poddanych, tak się radował, gdy w jego oczach wszystko kwitło szczęściem, rosło, żyło! Ale trudno! Musi na jakiś czas odjechać, by zwiedzić drugą połowę swego państwa, by zobaczyć, czy też tam wszystko jest w porządku. Więc ostatnim promiennym uśmiechem żegna ziemię, całuje ptaki, ziola, drzewa, kwiaty...

A ziemia, dotychczas jaskrawymi blaskami lśniąca, przybrała szaty tak smutne i blade, jak bladym był pożegnalny uśmiech Słońca.

Z. Roduska



Największy mój przyjaciel — książka

Adres „Krasnoludków”: Redakcja „Nasze Życie”, Rīga — Dzirnava 57. „Krasnoludki”
Drukarnia „RITI” Rīgā, Dzirnava telā Nr. 57.